

Tomasz Sobania, Felietony (2019)

Odważ się żyć!

(styczeń 2019)

Trzy dni przed wylotem do Panamy dopadł mnie prawdziwy strach. Na moment zew przygody osunął się w cień, a uderzył we mnie realizm sytuacji, w której się znalazłem. Dwa i pół miesiąca poza domem, na drugim końcu świata, w zupełnie innych warunkach, na statku, którym nigdy w życiu nie płynąłem. Ba, innym statkiem płynąłem raz w życiu i to dawno, dawno temu.

Czy ja zdaję sobie sprawę, na co się porywam? – takie myśli chodziły mi po głowie. Nigdy czegoś takiego nie robiłem, nie miałem więc żadnego odnośnika, żeby przekonać siebie, że przecież znów będzie dobrze. W całym tym przerażeniu przemówiłem sobie wreszcie do rozsądku i pomyślałem: chciałeś, to masz. Teraz już za późno, żeby się wycofać. Równocześnie czułem, że to jest to. Że skoro coś przeraża mnie i ekscytuje jednocześnie, to nie mogę z tego zrezygnować, tylko po prostu muszę wziąć byka za rogi i się z nim zmierzyć. Muszę się odważyć, bo inaczej nigdy nie dowiem się, jak pięknie mogło być.

Gdybym wtedy, w domu w Toszku, posłuchał myśli pełnych lęku, nie siedziałbym teraz na patio panamskiego domu w krótkich spodenkach i nie słyszałbym głosu ludzi, z którymi spędzę najbliższe dwa miesiące. Strach mógł mnie powstrzymać przed czymś niezwykłym i kiedy teraz o tym myślę, mówię sobie: jak dobrze, że go nie posłuchałem! Dla mnie to bardzo cenna lekcja i mam nadzieję, że każdy, kto marzy o niezwykłych rzeczach, ale strach go przed nimi powstrzymuje, wyciągnie z niej coś dla siebie. A dla tych, którzy wciąż nie są przekonani, czy czasem warto odstawić strach na bok, mam jeszcze jedną historię. Wieczorem piątego dnia naszego pobytu w Panamie odbywała się w Anton encierra, czyli wydarzenie, w którego centrum był rozjuszony byk, biegający po ulicy pełnej ludzi. Ważące prawie tonę zwierzę trzymało na linach troje jeźdźców, a byk przez kilkanaście minut biegał grożąc ludziom rogami po ulicy miasteczka. Ja zacząłem to filmować, przy czym adrenaliny było niemało, szczególnie kiedy ktoś krzyczał: „viene”, a tłum ludzi i koni w panice rzucał się do ucieczki. W pewnym momencie byk dotarł pod sklep i się przed nim nie zatrzymał! Wpadł do sklepu i powywracał część półek, a dwójce Polaków udało się to sfilmować.

Chwilę później pod tym samym sklepem jeden z Panamczyków, wyglądający na prawdziwego kowboja, poklepał zad swojego konia i zaproponował mi, żebym wsiadł. „To możliwe?” – zapytałem przerażony i podekscytowany jednocześnie. Panamczyk pokiwał głową, więc ja niewiele myśląc, wsadziłem nogę w strzemię i usiadłem za nim. Zaraz później usłyszeliśmy „viene” i po raz pierwszy w życiu zacząłem konno uciekać przed bykiem. To było coś nieprawdopodobnego! Adrenalina jak przy skoku ze spadochronem, mnóstwo ludzi i koni, a w uszach świst wiatru, okrzyki ludzi i głośna muzyka. Mój jeździec na szczęście nie ryzykował nadmiernie i przez większość czasu trzymaliśmy się w dalszych rzędach koni. Ale nadszedł moment, kiedy Edmir przedstawił mnie swoim „amigos”, a ci stali w pierwszym rzędzie, dosłownie trzy metry od ciężarówki, z której za chwilę miał wyskoczyć rozjuszony byk.

Minutę później Edmir krzyknął: „*ya, ya!*” – „*już, już!*”, a z krak wypadł ogromny byk i skierował rogaty łeb w naszą stronę. Poczułem silne szarpnięcie, kiedy Edmir zawrócił konia i zaczął uciekać galopem w tłumie koni i jeźdźców. Zatrzymaliśmy się dobrych kilkadziesiąt metrów dalej, a ja z bijącym głośno sercem pomyślałem: „*ale super!*”!

Przyznaję, to nie była najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem. Pewnie gdyby mama mnie wtedy widziała, dałaby mi szlaban na wszystkie wyjazdy przez najbliższe dziesięć lat. Ale teraz dobrze wiem, że taka przygoda na drugim końcu świata mogłaby się więcej nie powtórzyć. A co gdybym wtedy nie wsiadł na konia? Co gdybym wcześniej ze strachu przed nieznanym zrezygnował z wyjazdu do Panamy?

Co gdybym się nie odważył?

Trza się czasem uprzeć (luty 2019)

Któregoś dnia na porannej zbiórce przy podniesieniu bandery kapitan zapowiedział, że w Miami pójdziemy na Bal. Nie czułem się wtedy najlepiej; to była dopiero druga doba na wodzie, więc choroba morska jeszcze mnie trochę męczyła. Mimo to ta wiadomość już wtedy mnie zelektryzowała. Bal w Miami? Coś prosto z moich marzeń!

Nie spodziewałem się wtedy, że dostanie się do hotelu Nobu Eden Rock w Miami będzie tak trudne i wystawi moją wytrwałość na tak ogromną próbę. Łącznie sześć razy okazywało się, że nigdzie nie pójde i siedem razy pojawiała się nadzieja, że jednak – w pożyczonym mundurze Akademii Morskiej, na nazwisko kolegi, z którym zamieniłem się w zamian za „wagon” papierosów – pójde na bal z prawdziwego zdarzenia w Stanach Zjednoczonych. Walczyłem przez cały tydzień, a pewnego dnia, widząc, że kolejny raz coś poszło nie tak, a ja znów kombinuję, jak tu obejść to, że nie mam dwudziestu jeden lat i nie jestem studentem Akademii Morskiej w Gdyni, kolega powiedział, że on by się już poddał.

- *Ja się nie poddam* – odpowiedziałem. - *Uparty jestem, kiedy mi na czymś zależy*. Ten upór spowodował, że w sobotę, 9 lutego, wsiadłem do busa, który zawiózł mnie, grupę studentów Akademii i część załogi Daru Młodzieży do hotelu przy Miami Beach. Nie dowierzałem, kiedy weszliśmy do przepięknego holu i udaliśmy się na koktajl przed rozpoczęciem Balu. Dookoła pełno było ludzi w wieczorowych strojach, głównie Polaków, bo to był już 45. Bal Polonijny. Bal, który rozpoczął się o 20:00 przepięknym polonezem i trwał przez kilka godzin, dostarczając mi niezapomnianych wrażeń. Poznałem w jego trakcie polską aktorkę Alicję Bachledę-Curuś, a po kilku tańcach wylądowałem z częścią grupy na Miami Beach, gdzie w ciemnościach można było posłuchać szumu Atlantyki i zobaczyć rozświetlone budynki przy plaży.

W ten sposób nie zmarnowałem szansy, jaką było pójście na prawdziwy bal na drugim końcu świata. Zmarnowałbym ją, gdybym tylko w którymś z momentów, kiedy wydawało się, że już nic z tego nie będzie, poszedł za tą myślą i zrezygnował. Wierście mi, kilka razy już miałem zamiar to zrobić i zastanawiałem się tylko – *Boże, po co dajesz mi nadzieję, skoro nic z tego nie wyjdzie?*

A jednak, pomyślnie przeszedłem tę próbę charakteru, trochę lepiej poznałem siebie i zrozumiałem bardzo ważną rzecz – czasem trzeba się uprzeć. I próbować, kombinować, wchodzić jak nie drzwiami, to oknem i nie poddawać się. Jak długo? Aż do skutku.

marzec 2019
(felieton nie ukazał się)

Nie taka codzienność straszna (kwiecień 2019)

Trudno się wraca do codzienności. Szczególnie jeśli świeżych przeżyć jest całe mnóstwo, jeśli jednego dnia wciąż jeszcze wiele się dzieje, a następnego wszystko się zatrzymuje z gwałtownym szarpnięciem, jakby ktoś nagle wcisnął przycisk „stop”.

Nie byłem na to przygotowany. Gdy opłynęliśmy Półwysp Helski, a z Gdyni wypłynął nam na powitanie ORP Ślązak i zagrał Mazurka Dąbrowskiego, moje wnętrze ścięło przeogromne wzruszenie. Wreszcie w Polsce, już za kilka dni zejdziemy na ląd i wrócimy do domu - takie myśli miałem w głowie i nigdy bym się nie spodziewał, że tak naprawdę całym sercem nie chcę powrotu. Uświadomił mi to dopiero moment, gdy po raz ostatni zszedłem z pokładu Daru Młodzieży i dotarło do mnie, że... nie będzie następnego portu. Jakaś część mnie cały czas była przekonana, że w Gdyni postoiemy kilka dni, a potem znów wypłyniemy na szerokie wody mórz i oceanów.

Od początku wszystko w Polsce wydawało mi się inne od tego, co zostawiłem dwa i pół miesiąca wcześniej. Jadąc pociągiem na Śląsk, patrzyłem za okno i myślałem: ani to Panama, ani Stany... Co to za kraj? To samo było, kiedy późnym wieczorem dotarłem do Toszka. Poszedłem na pierwszy spacer z psem i znów przekonałem się, że to miejsce nie jest takie samo jak przed wyjazdem. A może to ja się zmieniłem? Jednego tylko byłem pewien – tęsknię za statkiem i nie umiem sobie wyobrazić funkcjonowania w normalnym świecie.

Na szczęście tego typu stany przechodziłem już kilka razy wcześniej, najczęściej po rekolekcjach młodzieżowych na Górze św. Anny. Wtedy też miałem wrażenie, że po tak cudownym czasie nie będę w stanie normalnie funkcjonować i może dzięki temu doświadczeniu jakoś udało mi się przetrwać pierwsze dni. Szybko doceniłem codzienność, do której w trakcie kryzysów na statku tak bardzo tęskniłem. Wreszcie mogłem poruszać się na większej przestrzeni niż pokład statku, mogłem zasnąć, wykapać się i zjeść bez bujającego się w tę i z powrotem gruntu pod nogami. To już na Darze Młodzieży uświadomiło mi, że szara rzeczywistość wcale nie jest taka zła, choć czasem powrót do niej wiele kosztuje.

Żeby się o tym przekonać, nie trzeba lecieć na drugi koniec świata. Przecież powrót do pracy po Świątach to też niemałe wyzwanie. Nagle kończy się błogi czas, a trzeba wrócić do rzeczywistości. Cała ta ponad dwumiesięczna podróż nauczyła mnie pewnej ważnej rzeczy – trzeba cieszyć się z tego, co

jest. To takie proste, ale... nie ma innej opcji. Jeśli ktoś nie potrafi być szczęśliwy w swojej codzienności, to na drugim końcu świata też znajdzie powód do narzekania.

Dla mnie cała ta przygoda jest wielkim powodem do wdzięczności. Dziękuję Bogu, że mnie w tak wspaniałą podróż zabrał i spełnił w ten sposób prośbę, którą zanośiłem do niego setki razy przez trzy lata liceum. Marzyłem wtedy o dalekich podróżach, ale zawsze brakowało na nie czasu i pieniędzy. Wreszcie zapomniałem o mojej prośbie. A po dwóch latach od zakończenia liceum wyjechałem z domu na 75 dni, postawiłem stopy na trzech kontynentach, odwiedziłem sześć państw i przepłynąłem Ocean Atlantycki. I dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że choć ja zapomniałem, Bóg nie zapomniał o mojej prośbie. On nigdy nie zapomina prośb swoich dzieci. Może więc warto Go o coś poprosić?

Być szczęśliwym. Tu i potem.

(maj 2019)

20 maja minął rok, odkąd Dar Młodzieży wypłynął w rejs dookoła świata. W tym felietonie raz jeszcze podzielę się tym, czego nauczyłem się na najpiękniejszym polskim żaglowcu. Ta lekcja nie dotyczy bynajmniej wspinania się na maszty czy wiązania węzłów – chodzi o coś o wiele ważniejszego. O to, jak być szczęśliwym w świecie, w którym zawsze coś będzie nie tak.

Kilka dni po wypłynięciu z Bahamów, gdy byliśmy w Trójkącie Bermudzkim, a od najbliższego skrawka lądu dzielił nas ponad tysiąc kilometrów przeżyłem chwilę, która uświadomiła mi, że człowiek na ziemi nie może być do końca szczęśliwy. Była ciemna noc, a ja siedziałem na pokładzie i patrzyłem w niebo usłane gwiazdami tak gęsto, jakby ktoś rzucił w górę ogromną garść świecącego piasku. Było cudownie do chwili, gdy uświadomiłem sobie, że... to się musi niedługo skończyć. Choćbym bardzo chciał, nie mogę tej chwili zatrzymać. I mimo tego, że z pozoru wszystko było idealnie, szczęście gdzieś uleciało, a pojawił się smutek.

Wtedy dotarło do mnie, że szczęście, które nie ma swojego końca, jest największą tęsknotą każdego człowieka. Podświadomie każdy z nas najbardziej tęskni za niebem. Bo niebo to właśnie stan szczęścia, które nie ma swojej daty ważności. Analogicznie – piekło jest stanem rozpacz, w której nie ma nadziei, że niedługo znów będzie dobrze. Tam, na wodach Atlantyku, zrozumiałem, że już do końca życia szczęście będzie kwestią tylko pojedynczych chwil. A prawdziwe szczęście czeka mnie potem, w Domu Ojca, z którego wyszedłem i do którego nieświadomie tak bardzo tęsknię. No to co robić przez całe życie? W końcu czasu mi jeszcze trochę zostało - zastanawiałem się. I odpowiedziałem sobie: cieszyć się chwilami szczęścia, myśląc nie o tym, że one wkrótce się skończą, ale że jak Bóg da, to za jakiś czas taki stan będzie trwał wiecznie. I póki jestem na ziemi doświadczaj piękna tego świata w naturze i w ludziach.

Przygoda z Rejsem Niepodległości pokazała mi, jak wiele jeszcze jest do zobaczenia i że może mi życia nie starczyć, żeby wszystkie te wspaniałe miejsca odwiedzić i spotkać setki wspaniałych ludzi w różnych zakątkach globu. Dlatego nie mogę marnować cennego czasu, by chwile takie jak ta, w Trójkącie Bermudzkim, przeżywać jak najczęściej i już więcej nie smucić się, że muszą minąć.

Życ na pełnej petardzie (czerwiec 2019)

Amerykański zespół One Republic w piosence „I lived” śpiewa: „Przyrzekam na każdą złamaną kość – żyłem”. Ostatnio coraz częściej myślę, że tylko takie życie, w którym człowiek podejmuje wyzwania, czasem wykraczające poza ramy zdrowego rozsądku, warte jest przeżycia.

To był wniosek m. in. po rozmowie z kolegą – fizjoterapeutą, któremu jakiś czas temu opowiedziałem o moich planach na tegoroczną wyprawę biegową. Ostrzegł mnie, że zasadniczo takie rzeczy nie wychodzą ludziom na zdrowie. Oboje doszliśmy jednak do wniosku, że skoro kiedyś i tak będę stary i niedołężny, to może warto teraz robić rzeczy z kategorii: ekstremalne i nie do końca zdrowe. Po to, żeby kiedyś nie żałować, że jak byłem młody i zdrowy, to nie podjąłem ryzyka i nie wykorzystałem moich możliwości.

Dobrze przeżyć życie nie oznacza prześliznąć się przez nie, unikając ryzyka i otrzymując jak najmniejszą liczbę ciosów. W końcu nie wygrywa ten, kto oberwał mniej razy, ale ten, kto dłużej utrzymał się na nogach. Nie warto więc unikać ryzyka i za wszelką cenę uchylać się przed porażkami. One i tak przyjdą, ale pytanie jest takie – czy zmierzmy się z nimi z podniesionym czołem na drodze do marzeń, czy zastaną nas ukrytych w kącie ze strachu? Trzeba podjąć ryzyko i zgodzić się na niewygodę, żeby żyć na pełnej petardzie, jak mawiał śp. ksiądz Jan Kaczkowski, założyciel hospicjum w Pucku. W jego przypadku życie na pełnej petardzie oznaczało oddanie się na służbę drugiemu człowiekowi. Ksiądz Jan mówił, że stara się nie mieć prywatnego czasu. Cały swój czas chciał poświęcać innym ludziom. To właśnie jest druga rzecz, która prowadzi do życia w pełni – podjęcie się czegoś wbrew temu, co łatwe i wygodne. Ja największy sens swojego życia czułem właśnie w chwilach, gdy daleko mi było do wygody - gdy znosiłem ból podczas siedmiu dni Biegu do Santiago de Compostela i gdy przez dwa miesiące prowadziłem niełatwe życie na pokładzie Daru Młodzieży. Właśnie te wyzwania dały mi poczucie, że żyję na pełnej petardzie i nauczyły mnie, że jeśli chcę czuć, że moje życie ma sens, to muszę zrobić dwie rzeczy: podjąć ryzyko i zgodzić się na niewygodę.

Nadszedł czas wakacji, może więc warto pomyśleć w ich trakcie o niecodziennych wyzwaniach? Bo to nie jest zwyczajny czas. Okazji do wyjazdów i nowych wyzwań będzie pewnie sporo. Spróbujmy, każdy na miarę swoich możliwości, wyznaczyć sobie cel, podjąć ryzyko i zgodzić się na niewygodę. Kto wie, może dzięki temu narodzą się jakieś nowe pasje i marzenia, a życie nabierze rumieńców?

Na zachętę zostawiam Was, Drodzy Czytelnicy, ze słowami księdza Kaczkowskiego, który powiedział: „Zamiast ciągle na coś czekać, zacznij żyć właśnie dziś. Jest później, niż ci się wydaje.”

lipiec 2019
(felieton nie ukazał się)

Maratonami przez Polskę - relacja z biegu (sierpień 2019)

Krótko po tym, jak wybiegłem z Zakopanego, zobaczyłem znak i napis „Gdańsk – 730 kilometrów”. Pomyślałem wtedy: „matko, jak ja tam dobiegnę?”.

Jednak dobiegłem i to nawet dalej niż do Gdańska, bo moja tegoroczna wyprawa biegowa, czyli Charytatywny Bieg Maratonami przez Polskę, zakończyła się na Skwerze Kościuszki w Gdyni. Jak to się stało, że byłem w stanie wytrzymać bieganie przez osiemnaście dni z rzędu dystansu maratonu, jak radziłem sobie z kłopotami na trasie i jakie niezwykle chwile przeżywałem – to temat tak obszerny, że można by o tym książkę napisać. Tutaj postaram się opowiedzieć historię tego Biegu w wielkim skrócie, a po szczegóły mojej przygody z bieganiem jeszcze sprzed biegu przez całą Polskę zapraszam do mojej książki pt. „7 dni i 300 km biegu. Opowieść 19-latka.”.

Ta książka opowiada w dużej mierze o moim zeszłorocznym Biegu do Santiago de Compostela i to właśnie ta wyprawa biegowa była najlepszym przygotowaniem do tego, co zrobiłem w tym roku. Przebiec przez całą Polskę mogłem tylko dzięki doświadczeniu, które od kilku lat zbieram i dzięki długotrwałym treningom, choć te z różnych powodów nie przebiegały tak, jakbym tego chciał. Zaledwie na miesiąc przed Biegiem przez Polskę dopadła mnie kontuzja i dlatego na starcie w Zakopanem stanąłem pełen obaw, które nasiliły się jeszcze bardziej po pierwszym dniu biegu, bo choć przebiegłem założone 42 kilometry, to kiedy wróciłem na nocleg, poczułem osłabienie i zakręciło mi się w głowie.

„Jak ja mam przebiec przez całą Polskę, skoro już po pierwszym dniu dzieje się coś takiego?” – pomyślałem wtedy z przerażeniem. Skupiłem się jednak na tym, co tu i teraz i na każdym kolejnym etapie biegu. Codziennie rano jadłem solidnie śniadanie i jechałem z moim wsparciem na trasę, żeby przebiec pierwszy etap, który zwykle liczył od dwudziestu pięciu do trzydziestu kilometrów. Potem jechałem na miejsce, w którym miałem spać, wyjmowałem wałek do automasażu i po długiej sesji rolowania i rozciągania wchodziłem pod prysznic, żeby dokończyć regeneracji. Następnie przychodził czas na porządny posiłek i z rzadka na krótką drzemkę, choć często z powodu wywiadów i spotkań z różnymi ludźmi nie było nawet chwili na to, żeby się położyć przed drugim etapem, którym każdego dnia dobijałem do 42-ego kilometra. I tak dzień w dzień, przez osiemnaście dni. Po siedmiu dniach marzyłem o jakimś ludzkim odpoczynku, bo nogi bolały mnie nie tylko, kiedy biegałem, ale właściwie na okrągło. Co ciekawe, nastąpił jednak pewien przełom w okolicach Warszawy i od tego czasu bieganie przychodziło mi z większą łatwością, a kiedy budziłem się rano, miałem wrażenie, jakbym poprzedniego dnia zrobił zwyczajny trening, a nie przebiegł 42 kilometry. To było niezwykle, ale odkryłem, że moje ciało zaczęło się przyzwyczajać do biegania maratonu dziennie.

To oczywiście nie oznacza, że dalej było już łatwo, prosto i przyjemnie. Co najmniej czterokrotnie kontynuowanie Biegu stawało pod znakiem zapytania, dopadły mnie kontuzje i problemy organizacyjne, ale mimo to, dzięki wielkiemu wsparciu ludzi i mojej wytrwałości, a także kilku cudom, które wydarzyły się po drodze, dobiegłem nad morze. A dzisiaj trudno mi uwierzyć, że już po wszystkim, że to tak szybko minęło. Najważniejszy rezultat jednak pozostał, a jest nim realna pomoc, którą otrzymała Dominika, dla której biegałem. Na jej rzecz założyłem zbiórkę na stronie zrzutka.pl i dzięki

hojności ludzi w trakcie Biegu i po jego zakończeniu udało się dla Dominiki uzbierać naprawdę dużo pieniędzy. Tak zakończyła się tegoroczna wyprawa. Mam już plan na przyszłoroczny bieg i choć wiem, że znów będzie brzmiało to nieprawdopodobnie, to tak po cichu marzę sobie, żeby w przyszłym roku pobiec z Polski do... Rzymu.

Budzikom śmierć

(wrzesień 2019)

Pospiesznie ostatnie rzeczy, zamykam walizkę i wychodzę z domu, żeby zdążyć na pociąg, który za pół godziny odjeżdża z Lublińca do Warszawy. I dziękuję Bogu, że jeśli już wstaję o piątej rano, to od pewnego czasu wyłącznie po to, żeby robić to, o czym sam zdecydowałem.

Nie wstaję już wcześniej rano, żeby pisać kolejne strony w mojej książce. Nie muszę. Kiedyś nie było innej możliwości – jeśli chciałem, żeby przybywały po trzy, a nawet cztery strony każdego dnia, musiałem pracować przed wyjściem do szkoły. Potem zwykle pisałem parę słów w szkole i po powrocie znów siadałem do komputera i pisałem. Dzisiaj dziękuję sobie za tę pracę. Dzięki temu, że pracowałem wtedy, teraz mogę żyć na własnych warunkach. Dzięki temu, że wtedy wstawałem wcześniej, teraz mogę wstawać o godzinie, którą sam wybiorę.

To był jeden z moich celów. Poważnie. Chciałem wstawać codziennie z poczuciem, że robię to, co sam wybrałem, o godzinie, którą sam ustaliłem. I wydaje mi się, że to jest jedna z ważniejszych rzeczy w życiu – nie to, żeby się wyspać, ale to, żeby każdego dnia budzić się do robienia rzeczy, które wcześniej sami świadomie i z radością wybraliśmy.

Wiem, że nie każdy ma tę możliwość. Dlatego zależy mi, żeby dzisiaj każdy z moich rówieśników zrozumiał pewną prostą rzecz – jeśli teraz nie będziesz wstawał wcześniej, żeby pracować na swoje konto, to niedługo będziesz musiał wstawać, żeby pracować na konto kogoś innego. Jeśli dzisiaj nie przyłożysz się do nauki, treningów, do egzaminów zawodowych itd., to być może niedługo będziesz musiał przyłożyć się do pracy, której wcale nie chcesz wykonywać. Myślę, że początek roku szkolnego to dobry czas, nie tylko dla uczniów, żeby pomyśleć, jak można zacząć dostosowywać życie do swoich wymagań. Jak to zrobić, żeby w ciągu dnia przynajmniej część rzeczy brała się z wyboru, a nie z musu. To podporządkowywanie sobie życia może potrwać, ale z własnego doświadczenia wiem, że rzecz jest przepiękna i warto o nią walczyć. Aż do momentu, w którym życie nie będzie się nam już więcej dowolnie przytrafiało.

Na koniec przypomina mi się sentencja, którą ktoś umieścił na kartce w mesie na Darze Młodzieży, kiedy już drugi dzień staliśmy na kotwicy u wejścia do Tamizy. Zdanie to brzmiało tak: „*nie po to Kopernik ruszył Ziemię, byśmy teraz stali w miejscu*”. W bezruchu nic się nie zmieni. Trzeba się ruszyć, żeby zostać panem swojego życia.

Wymagające nauczycielki (październik 2019)

Surowa, piękna i mądra. Nie daje łatwego dostępu do siebie, a kiedy się ją opuszcza, wzbudza ogromną tęsknotę. Nie zawsze jest z nią różowo; czasem ma się ochotę rzucić ją i więcej nie wracać. Góra. Każda góra jest taka.

Spędziłem ostatnio trochę czasu w krainie surowych piękności. I choć tylko musnąłem tego świata, to udało mi się wyciągnąć z niego kilka wartościowych lekcji. Bo góry są świetnymi nauczycielami.

I tak nauczyłem się najpierw, jak niewiele potrzebuję. Z parkingu zabrałem plecak pełen rzeczy, bo „mogą się przydać”, a po kilometry męczarni, większość tych rzeczy zapakowałem w tobołek i zostawiłem w schronisku na dole. Na górę ruszyłem o wiele lżejszy, ze świadomością, że od teraz musi wystarczyć mi to, co mam. I wystarczyło.

Jak piękna jest cisza. Jak pięknie jest być z dala od wszystkiego, od jakiegokolwiek miasta. Jak pięknie iść krok za krokiem i o niczym nie myśleć. I tylko je podziwiać. Surowe, piękne i mądre. W takich chwilach oddycham i czuję w nozdrzach życie.

Są też chwile, gdy marzę, żeby już wrócić do codzienności, która zwłaszcza po wielu godzinach marszu wydaje się być cudowną rzeczywistością. I dobrze, że tak jest. W górach docenia się codzienność, w codzienności – góry.

Chodzenie na skrót jest bardzo ryzykowne. Niczego też nie da się przeskoczyć. Każdą przeszkodę trzeba pokonać siłą własnych mięśni. Góry uczą pokornej walki, z szacunkiem dla potęgi przeciwnika. Komu brakuje tego szacunku, szybko przekonuje się, jaki jest mały i słaby. Tak samo każdy, kto myśli, że wszystko może zrobić sam.

Nie wolno tracić czujności. Pokusa jest ogromna, zwłaszcza gdy szczyt już zdobyty, a teren robi się łatwiejszy. Nie do końca świadomie tej pokusie uległem, gdy schodząc z najwyższego szczytu Austrii, pokonałem najtrudniejszy, bardzo stromy fragment. Tam miałem wszystkie mięśnie napięte, każdy krok był wyważony. Dotarłem do podstawy ściany. Odetchnąłem. Dziesięć kroków później już zjeżdżałem po zaśnieżonym zboczu. Błyskawicznie wbiłem czekan, naprężyły się liny, którymi byliśmy związani i zatrzymałem się dwa metry niżej. Nie ma żartów, trzeba być czujnym do samego końca. Trzeba być czujnym zwłaszcza wtedy, gdy robi się łatwo, prosto i przyjemnie. Wtedy najtrudniej walczy się z pokusami, a nie wtedy, gdy sytuacja jest trudna.

Brzmi znajomo? Bo to wszystko działa nie tylko w górach. One są cichymi i pięknymi nauczycielkami życia, są jak szkoła na wolnym powietrzu. Każdy powinien ją choć kilka razy w życiu odwiedzić i wyciągnąć swoje, nie zawsze oczywiste lekcje.

Wyzwanie – kolejny nauczyciel (listopad 2019)

Tylko wyzwania prowadzą do rozwoju. Tylko przykładając się na sto procent naprawdę się uczyć. To może nie nowe lekcje, ale ostatnio często mi się przypominają.

W listopadzie miałem okazję zagrać po raz kolejny w Teatrze *Carpe Diem* w Pyskowicach. Bardzo na to czekałem, bo każdy spektakl był dla mnie niezwykłym przeżyciem. Przyjechałem na pierwszą próbę i tu zaskoczenie. Główna rola. Marzyłem o tym, ale w tamtym momencie poczułem znajome ukłucie stresu. Kiedy pierwszy raz występowałem w tym teatrze dwa lata wcześniej i nie wypowiadałem na scenie ani słowa, marzyło mi się, żeby kiedyś tak jak moi starsi koledzy odgrywać duże role. Teraz bardziej od podekscytowania czuję zapach zbliżającego się wyzwania i wcale nie byłem pewien, czy naprawdę chcę się z nim zmierzyć.

W takich chwilach największym błędem jest zrobienie kroku w tył. Z wyzwaniem trzeba stanąć twarzą w twarz i podjąć walkę. Ja się nie cofnąłem i już niedługo później przekonałem się, że to był dobry wybór. Wyzwanie zmusiło mnie do zaangażowania wszystkich sił, do przyłożenia się na sto procent. A kiedy już to zrobiłem, zacząłem odkrywać, że naprawdę się rozwijam.

Minęły dwa tygodnie i po kilkudziesięciu godzinach prób, po wielu cudownych chwilach przeplatanych tymi pełnymi zwątpienia nadszedł dzień premiery, a ja przeżyłem czas tak piękny, że brakuje mi słów, żeby go opisać. I kiedy teraz o tym myślę, mówię sobie: „*jak to dobrze, że wtedy się nie wycofałem!*”. Nauczyłem się wiele, zdobyłem doświadczenie, a to wszystko po konfrontacji z ogromnym wyzwaniem.

Człowiek uczy się w zetknięciu z tym, co nieznanne. Nieznane zawsze stanowi wyzwanie – bo nie wiadomo, co się wydarzy. Człowiek, który nie podejmuje wyzwań, nie napotyka nieznanego i stoi w miejscu. Ostatnio sam tego doświadczyłem, kiedy po intensywnym czasie spotkań autorskich przyszło mi do głowy, że wcale się nie rozwijam. Mówię cały czas to samo i sterczę w miejscu. Teraz jednak mam przed sobą pierwszy w życiu występ na dużym wydarzeniu w roli prelegenta i już czuję zbliżające się wyzwanie. I choć trochę się boję, to równocześnie się cieszę – bo zbliża się wyzwanie, a wraz z nim – rozwój.

Jest grudzień. To bardzo dobry moment, żeby pomyśleć o wyzwaniach na przyszły rok i żeby przestać się ich bać. Bać powinniśmy się braku wyzwań, bo wtedy nie ma żadnych szans na rozwój.

Podejmować wyzwania. Stawiać poprzeczkę coraz wyżej. Przełamywać strach. Żyć. Bo prędzej niż nam się wydaje, wyciągniemy kopyta.

Gdy nie działa logika

(grudzień 2019)

Połowa grudnia. Rynek w Krakowie. Godzina 21.35. Zabawne, bo właśnie przechodzę obok malutkiego kościoła z zieloną kopułą i słyszę od koleżanki, że tutaj codziennie o 21.37 odprawiana jest msza święta. Iść czy nie iść? Gdyby do mszy zostało dziesięć albo więcej minut, na pewno bym nie poszedł – jakoś nie było mi po drodze do kościoła w ostatnim czasie. Wchodzimy jednak i niemal natychmiast rozpoczyna się msza, która pod wieloma względami wywraca to, co ostatnio miałem w głowie.

Tam, w kościółku na rynku w Krakowie, poczułem się jak ta owieczka, po którą wychodzi pasterz i szuka jej tak długo, aż znajduje zgubę. To owca pobłądziła, z własnej winy znalazła się w nieodpowiednim miejscu, ale jednak to pasterz wychodzi na jej poszukiwanie. To on wyciąga rękę, choć może się przecież okazać, że głupia owca jeszcze nie raz zacznie chodzić swoimi ścieżkami i znów się zgubi.

W czytaniach usłyszałem o rodowodzie Jezusa, a w homilii była mowa o tym, że Bóg stał się częścią rodu nie tylko ludzi pięknych, ale i zdrajców, i morderców. Wpisał się w ludzką historię. I znów paradoks – Bóg wszechmogący staje się jednym z ograniczonych ludzi. Ten, do którego wszystko należy, przychodzi na świat w lichej stajence. Dobry Pasterz zostawia dziewięćdziesiąt dziewięć owiec i szuka tej jednej zaginionej.

Znów zachwyciłem się tym, jak to On wymyka się wszelkim prawom logiki. Dobrze to sobie przypomnieć, szczególnie w grudniu, kiedy nadchodzi idealna okazja, żeby samemu zrobić coś, co wykracza poza normalny stan rzeczy – jako pierwszy wyciągnąć do kogoś rękę na zgodę albo zacząć szukać kogoś, kto się pogubił, zamiast czekać, aż sam zmądrzeje i się znajdzie. Boże Narodzenie daje taki pretekst, ale najlepsze jest to, że gdyby pójść za przykładem samego Boga, to można by mieć Boże Narodzenie przez cały rok. Bo przecież On nie wybacza ludziom tylko od Święta, nie szuka zaginionej owcy tylko raz do roku. On to robi cały czas.

Niech zachwyty nad tym, jaki jest Bóg będzie w Święta jak najwięcej. I niech każdy z nas będzie powodem do zachwyty nad człowiekiem. Tego nam wszystkim życzę. Wesołych Świąt!